

---

# Małe Licho i lato z diabłem

---

---

## Fragment

---

— Ja też chcę przeżyć przygodę — oznajmiło Licho od progu i na znak, że jest w tym pragnieniu niezmiernie stanowcze, wzięło się pod boki i zmarszczyło brwi.

Bożydar Antoni Jekiętek znieruchomiał na schodach werandy i wybałuszył na anioła wielkie chabrowe oczy, ponieważ nic a nic z tego nie rozumiał. W ogóle.

Przed momentem wrócił ze szkoły, dumnie dzierżąc w garści świadectwo ukończenia klasy trzeciej. Znaczący, dzierżąc metaforycznie, czyli nie dosłownie, bo tak naprawdę to miał je w plecaku, razem z zawartością swojej szkolnej szafki. Tę zawartość pani kazała każdemu uczniowi wyciągnąć, odkleić lub zeszkrobać i zabrać ze sobą do domu, a najlepiej od razu wyrzucić, zanim przed nastaniem jesieni sama wypelźnie, zwoła posiłki i podbije jakiś kontynent. Jesienią ich sala — najlepsza na całym parterze, bo choć niezbyt wielka, to słoneczna i schowana aż za biblioteką przed czujnym radarem surowej wicedyrektor — na powrót miała się bowiem stać salą pierwszaków. Oni zaś, jako czwartoklasiści pełną gębą, przeniosą się na Piętro, do nowej sali, do całkiem nowego świata, którego Bożek w głębi ducha trochę się obawiał.

Ale nie dziś. Jeszcze nie. W ten ostatni czerwcowy piątek żadne z nich nie myślało o rewolucji, jaka ich czekała za dwa miesiące. Teraz w ogóle nie mieli do tego głowy! Dziś był dzień o zapachu słońca i beztroski, dzień powitania z latem i zarazem pożegnania — tego radosnego, z koleżankami i kolegami z klasy, z którymi niedługo znów się zobaczą, i tego smutniejszego, bo z panią, która przestawała być Ich Panią tak całkiem, na zawsze. Wyściskała ich, wytuliła i wygłaskała, pogroziła palcem ten ostatni, najostatniejszy raz, a potem zagoniła do szafkowych wykopalisk, kwitując co dziwniejsze znaleziska śmiechem albo okrzykami najszczerzej, prawie nieudawanej zgrozy.

W szafce Bożka na przykład, oprócz zapomnianych zeszytów, znalazły się zaschnięte farby w plastikowych pojemniczkach z zakrętką, nadkruszone gumki oraz ogryzki różnokolorowych kredek. Chłopiec zbierał je pieczołowicie dla Gucia, wzięwszy sobie do serca przysłowie, że kto zjada ostatki, ten piękny i gładki, a wszyscy wiedzieli, że im gładszy był Gucio, tym lepszy robił rozbryzg w wannie podczas wieczornych kąpieli. Były tam również trzy plastelinowe ludki oraz dwa ludki z kasztanów, które skleiły się nieodwracalnie w lepkiego zmutowanego ludkojeża, arkusze kolorowego papieru z dziurami w osobliwych, kanciastych kształtach, jojo bez sznurka, sznurek bez jojo, magnetyczny glut w metalowym puzderku, a także skórka od chleba z kanapki, chyba majowej, a może nawet kwietniowej, która cała już

stwardniała oraz, co Bożka fascynowało najbardziej, panią zaś najbardziej zmroziło, porosła śmiesznym mięciusim kozuszkciem, jak gdyby w szkolnej szafce doskwierał jej chłód.

Wszystko to, razem ze świadectwem oraz książką, chłopiec przytaszczył do domu tego ostatniego dnia szkoły — a zarazem pierwszego dnia swoich pierwszych prawdziwych wakacji, które właśnie się rozpoczynały.

Plany miał na ten wspaniały czas wielkie, przeogromne wręcz.

Po pierwsze, zamierzał siedzieć do późna, najlepiej każdego wieczoru, i przeczytać wszystkie, ale to wszyściuteńkie zaległe książki, które piętrzyły się obok jego łóżka. Stos ów już trzy razy przewrócił się na Gucia, równie zafascynowanego, co zaskoczonego chybotliwością konstrukcji, zwłaszcza potraktowanej serią zamaszystych pacnięć. Cóż. Mały potwór nie od dziś ignorował co bardziej karkołomne koncepcje, których nie obejmował ani umysłem, ani macką, a grawitacja zdecydowanie była jedną z nich.

Po drugie (wskutek pierwszego), Bożek chciał wylegiwać się każdego ranka w pościeli i czytać dalej, rzecz jasna. A potem snuć się po domu w piżamie, z nieumyтыми zębami i czupryną rozczochraną jeszcze bardziej niż zwykle, póki ktoś dorosły nie zauważy, że właściwie jeszcze chwila i będzie się musiał przebrać z tej piżamy... z powrotem w piżamę, żeby pójść spać, co w sumie pasowało do jego planów.

Po trzecie, postanowił precyzyjnie sprawdzić, ile czereśni pomieści człowiek typu dziecko, lat dziesięć (i pół), co jednakże wymagało dotrwania do kluczowego momentu, kiedy czereśnie dojrzeją, za to tuż przed tym, jak zainteresują się nimi szpaki i robaczki. Oraz różowe króliki. No i mama. Mama była zdolna pomieścić chyba wszystkie czereśnie świata (i jeszcze morele na dokładkę).

Po czwarte, gdyby śmiała koncepcja z piżamą całodobową nie wypaliła, Bożek planował sprawdzić, czy sięga już z czwartej gałęzi drzewa za domem do piątej albo nawet wyżej. To z kolei wymagało sporej dyskrekcji, żeby dorośli nie zauważyli i nie zgłosili protestu, oraz asekuracji. Bo choć Gucio w grawitację nie wierzył, to grawitacja z pewnością wierzyła w Bożka, a on nie zamierzał się z nią kłócić.

Po piąte — i najważniejsze — musiał przysiąc w końcu fałdów nad *Glutami w Podziemiach*, grą bardzo przygodową, taką z fabułą, planszą, figurkami i takimi tam, nad którą pracował od kilku miesięcy. Znaczący, może tak nie do końca PRACOWAŁ. Najpierw przez trzy albo cztery tygodnie szukał tytułu idealnego i kiedy już mu się wydawało, że znalazł, przyszedł wujek Konrad i zaczął tłumaczyć, że nie ma takiego pudełka, na którym zmieściłoby się *Bazyli Bazylior, Mistrz Szalbierstwa, i Złowrogi Gluty w Niezłębionych Podziemiach Ciemności ze Stworami. Gra Rodzinna*, i że „mistrz” pisze się jednak nieco krócej (między innymi). Ponieważ wujek znał się na tytułach, a do tego używał przykrych słów, takich jak PRZYDAWKA lub ALITERACJA, Bożek szybko pogodził się z cięciem i wykaligrafował wersję skróconą na okładce zeszytu, przystąpił do spisywania fabuły. W tym samym czasie Licho z poświęceniem szykowało skomplikowaną trójwymiarową planszę z kartonu, osobistego pierza, rolek po papierowych ręcznikach i patyczków po lodach, wujaszek Turu zaś, jak zawsze nieoceniony, rzeźbił drewniane figurki bohaterów i średnio raz w tygodniu upewniał się, czy tytułowy heros aby na pewno ma być (tu zerkał do notatek) „taką fajną kozą wyposażoną w kilogram cukierków, patelnię i cymbałki”.

Po tych kilku miesiącach z wymiętalonego i zabazgrolonego zeszytu już prawie wyłaniał się pierwszy z siedemnastu scenariuszy Prawdziwej Podziemnej Przygody, wraz z zestawem dwustu pięciu Unikatowych Kart Przedmiotów i Zrządzeń Losu, z których powtarzała się zaledwie połowa. Licho wciąż tuptało po całym domu w poszukiwaniu kartonów, żeby dokleić i ozdobić kolejne piętra planszy, zanim różowe króliki znowu wtrąszą Lochy Lodowego Lamentu albo zostawią bobki w Pieczarze Przeklętej Paszczy, a wujaszek Turu nieustannie dopytywał, czy to na pewno mają być cymbalki, nie zaś, na przykład, Byczy Bęben Bojowy albo Gargantuiczny Gong Grozy. (I czy Bożek nie mógłby jednak zacząć przygody z projektowaniem gier planszowych od czegoś prostszego, jak bierki. Albo kapsle).

— Nie — odpowiadał twardo chłopiec, na co wujaszek wzdychał ciężko i wracał do rzeźbienia cymbalków, które zmieściłyby się w pudełku zapalek, i to razem z cymbalistą.

Krótko mówiąc, przez te dwa wyczekiwane, wymarzone, wytęsknione miesiące wakacji Bożek zamierzał robić to wszystko, co jeszcze przed rokiem, zanim poszedł do szkoły, uważał za całkiem zwyczajne. Jasne, szkoła była dość fajna i koledzy też (z wyjątkiem tych, którzy nie byli), ale dopiero teraz dotarło do niego, jak bardzo mu brakowało tej niespiesznej i chaotycznej codzienności, wolnej od popędzających go ciągle wskazówek zegara. Sęk w tym, że żadnego z tych planów, choć arcyprzyjemnych, nie dało się nazwać przygodą przez dostatecznie duże Przy, żeby zaspokoić oczekiwania małego anioła w tym względzie.

— No bo wiesz — podjęło tymczasem Licho, uznawszy, że dość już manifestowania tej całej stanowczości, pora rozwinąć myśl. — Ty miałeś przygody, alleluja. Takie z emocjami i siniakami, i wyprawami, i w ogóle! A ja nie miałem ani jednej, ani w zaświatach, ani w podmiędzypiekle...

— Przednadpiekle — poprawił Bożek skrupulatnie.

— Tam też nie miałem! — zakrzyknęło Licho i tupnęło bamboszką dla większego wrażenia. — Nic nie miałem i nigdzie nie byłem, bo ty mnie nigdzie nie zabierasz!